

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 147.

№ 3. | Warszawa, (19 stycznia) 1 lutego 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Chwila odpoczynku.

Projekt nowego Prawa Myśliwskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Niema, zdaje się, nigdzie takiego prawa myśliwskiego, które zadawalniałoby wszystkich: przeciwnie, na jego tle jątrzą się różne rany stanowe, ogranicza ono bowiem prawo własności mniejszych właścicieli rolnych i krępuje namiętności ludzkie, t. j. pasyę myśliwską wielu jednostek, które jej się oprzeć nie mogą. I trudno jest, istotnie, wytłómaczyć małemu rolnikowi, że nie ma prawa zabić zwierzyny, która może się w jego zaroślach wylęgła i plodami jego ziemi żyje, a nie ma tego prawa tylko dlatego, że jego posiadłość jest o parę lub kilka morgów mniejsza od jego sąsiada. Nie ma on również prawa zabić zwierzęcia, które wylęgło się w obszernych lasach sąsiada, a żywi się na jego niwie, przyprawiając go bez względnie o szkodę. Mały posiadacz rolny szkodę tę widzi; czuje, że mu się krzywda dzieje, i prawo myśliwskie równa się dlań bezprawiu, które stara się zwalczać, bądź jawnie w parlamentach, bądź skrycie przez potajemne, nielegalne polowanie, kłusownictwem zwane.

Czy jednak ma on w tym razie racyę? Bynajmniej. Wszak każde prawo, czy rzeczowe, czy osobiste, jest właściwie ograniczeniem i skrępowaniem jednych na korzyść drugich. W ucywilizowanem społeczeństwie jednostka musi wyrzec się pewnej części swojego dobra i indywidualnej swobody na rzecz ogółu. Już Rzymianie orzekli, że *„summa jus est summa injurja“*. To też i prawo myśliwskie krępować i ograniczać musi, a w pogoni za ideałem tego prawa idzie tylko o to, aby zmierzając niezachwianie do swego celu, krępowało jaknajmniej, aby sfera jego ucisku była ograniczona do możliwych granic. O ile te założenia w prawie uwzględnione zostały, zasługuje ono zawsze na poszanowanie.

Projekt nowego prawa myśliwskiego, któryśmy poprzednio streścili, ma trudne zadanie przed sobą, musi bowiem regulować stosunki myśliwskie na ogromnej przestrzeni państwa rosyjskiego, pod różnemi stopniami długości i szerokości geograficznej, wśród różnych ludów, różnych kultur, różnych zwyczajów i różnych warunków ekonomicznych. Flora i fauna inne, zwyczaje myśliwskie różne i różne są użytki z myślistwa (na Syberyi i w północnych guberniach — myślistwo jest zawodem, sposobem do życia, u nas zaś — sportem), a prawo ma być jedno. Czy w tych warunkach może ono zadowolnić wszystkich? Jest to więcej, niż wątpliwe. Nie mogą bowiem obowiązywać wszędzie jednakowe terminy polowań, *census* myśliwski także w różnych stronach państwa winien być różny i t. d.

Zdaje się, że podzielenie całego państwa Rosyjskiego na strefy byłoby w danym razie wskazanem, gdyż tylko przy takim podziale, możnaby istotnie ustanowić terminy polowania stałe, mające na uwadze prawdziwą ochronę danego gatunku zwierzyny, jako miejscowej. Wprawdzie na granicach tych stref wytworzyłyby się pewne anomalie; mogłoby się np. zdarzyć, że w pogranicznej wsi I strefy wolno byłoby dziś bić zwierzynę, gdy w sąsiedniej wiosce, należącej do strefy II, zwierzyna ta znajdowałaby się pod ochroną, ale przestrzeń, podlegająca tym anomaliom, byłaby w każdym razie niewielka. W Niemczech stale spotykamy to zjawisko, że w jednej prowincyi już wolno strzelać kuropatwy, gdy w sąsiedniej termin otwarcia polowania jest późniejszy. Sąsiadujące więc pograniczne wsie owych prowincyj, znajdują się właśnie w położeniu, powyżej wskazanem, co jednak bynajmniej nie przeszkadza Niemcom w ścisłem stosowaniu się do prawa myśliwskiego.

Census myśliwski także bardzo zależnym jest od stopnia kultury ziemi i rodzaju miejscowej zwierzyny. W Niemczech, gdzie polowanie jest kulturalne, 150 morgów uznano, jako jednostkę, na której już można polować; tymczasem dla jelenia, łosia, dżejranów przestrzeń to żadna i o wyhodowaniu na niej żadnego z tych gatunków mowy być nie może. I tu więc podział na strefy okazałby się pożądanym.

W projekcie nowego prawa *census* myśliwski przysługuje dopiero właścicielowi 300 diesiatin, stanowiących nierozdzielną całość, co czyni prawie 20 włók ziemi. Jest to przestrzeń na gubernie Królestwa Polskiego bezspornie za wielka, wobec rozdrobnienia u nas

---

POLOWANIE
na lwy morskie.

— Wierzajcie mi — opowiada słynny myśliwy na lwy morskie, kapitan James R. Mullett, w jednym z numerów „New-York World'u“. — jestem jedynym człowiekiem, który łowił lwy morskie w celach handlowych, a za kilka tygodni przedsięwezmę trzydziestą szóstą wyprawę na wyspę św. Barbary. Upłynęło czterdzieści lat od czasu, jak Barnum dał mi za pierwszą parę lwów morskich 10,000 dolarów (były to pierwsze egzemplarze, pokazywane jako żywcem złowione). Od tego czasu złowiłem 1,049 tych zwierząt; część ich pokazują na widowiskach, przenosząc się z niemi z miejsca na miejsce; pozostałe znajdują się w wielkich ogrodach zoologicznych w Cincinnati, Filadelfii, Chicago, Baltimore, St. Louis, New-Yorku, Pittsburgu, Waszyngtonie, Antwerpii, Paryżu, Kolonii, Lipsku, Dreźnie, Berlinie, Hamburgu, Amsterdamie, Londynie, Glasgowie, Melburnie, Sydney'u i Adelajdzie. Te 1,049 lwów morskich dały mi przeszło milion dolarów dochodu; niektóre lwy ważą przeszło tonnę; były cięższe, niż największe konie cugowe, i trzy razy większe, niż najokazalsze lwy pustyni, spotykane w ogrodach zoologicznych. Taki okaz ubić trzydziesto-kalibrowym Winchestrem jest trudniej, niż się zdaje, ale nie można sobie wyobrazić, ile trudności przedstawia wytropienie lwa morskiego, pogoń za nim i złowienie go ostatecznie za pomocą lassa, metodą cowboy'i. Po złowieniu ogradza go się klatką, następnie zaciąga na „Jennie Griffin“ (tak się nazywa mój statek), a na koniec umieszcza w jakimś ogrodzie zoologicznym.

Z pomocą mojej żony, która załatwia sama moje interesy handlowe i towarzyszy lwom morskim podczas ich podróży lądowej, złowiłem, jak już wyżej wspomniałem, 1,049 sztuk tego gatunku. Przed trzydziestu pięciu laty lew morski był jednym z najbardziej tajemniczych zwierząt niezmierzonych głębin morskich. Gdyby wtedy pokazywano jakie zwierzę tego gatunku, żywcem złowione, to wywołałoby taką samą sensacyę, jak naprzykład podziśdzień zjawienie się wężów morskich.

Przy końcu szóstego dziesięciolecia służyłem na krążowniku „Morning Light“, który pośredniczył w handlu między Liwerpoolem a Ameryką południową. Kiedyśmy wylądowali na wyspie Chicha, poznałem pułkownika Jakóba Hudsona, ówczesnego „Barnuma“. Gdy pewnego dnia zauważyliśmy na odległej skale lwy morskie, zwierzył mi się pułkownik, że czułby się szczęśliwym, posiadając parę tych zwierząt. Podziałało to na mnie, jakby kto iskrę do prochu przyłożył! Przez szereg lat studyowałem życie

własności ziemskiej i stałej w tym kierunku tendencyi.

Członek-referent Komisyi, której Warszawski Oddział Cesarskiego Tow. praw. myśl. poruczył przejrzenie projektu, p. Wacław Paszkowski, w przedmiocie tym pisze w swoim referacie, co następuje:

„Dowodzić korzyści, a nawet w niektórych krajach konieczności *census'u* myśliwskiego byłoby zbytecznem. Należy tylko zastanowić się nad jego rozmiarami. Jasnem jest przedewszystkiem, że różny on jest w różnych krajach i pozostaje w zależności od rodzaju zwierzyny, którą ochraniać należy, chociaż punktem wyjścia winien tu być fakt, że głównym celem tego środka ma być ochrona t. zw. zwierzyny kulturalnej, do jakiej w Królestwie należy: sarna, zając i kuropatwa, a w ostatnich czasach i bażant, coraz więcej rozpowszechniany. Najmniejszy myśliwski obszar winien być tak duży, aby na nim mogła się ta zwierzyna hodować, aby nabywający prawa wykonywania myślistwa, mógł korzystać ze zwierzyny, którą sam wyhoduje, zgodnie z rozumną, niemiecką zasadą: *kein Heger — kein Jaeger*. Naturalnie, im obszar będzie większy i różnorodniejszy, tem lepiej, ale należy tu unikać ostateczności, nie żądać zbyt dużo, aby nie ograniczyć ze szkodą dla samej sprawy, koła ludzi, w hodowli zwierzyny zainteresowanych.

„W guberniach Królestwa, bardzo gęsto zaludnionych, gdyż pod tym względem Królestwo dorównywa prawie najludniejszym krajom zachodniej Europy, z jednej strony kultura ziemi jest wyższą, aniżeli w innych miejscowościach Cesarstwa, z drugiej zaś daje się zauważyć szybki proces drobnienia własności ziemskiej.

„Kultura ziemi sprzyja hodowli zwierzyny i daje możność prowadzenia gospodarstwa myśliwskiego i na niewielkich obszarach; rozdrobnienie zaś własności ziemskiej pociąga za sobą konieczność wzięcia pod uwagę interesu większości rolników dla dobra samego myślistwa.

„Obecnie obowiązuje w tutejszym kraju art. 358 ust. rol. wyd. 1903 r., który określa obręb myśliwski na 150 morgów, t. j. około 77 diesiatin. Jakkolwiek przepis ten ustanowiony został w początkach siódmego dziesiątka lat ubiegłego stulecia, czyli w czasie, gdy własność obywateli ziemskich bynajmniej nie była tak rozdrobniona, jak dzisiaj, to jednakże doświadczenie wskazało, że taki *census* jest zbyt mały. Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że proponowany w projekcie *census* 300 diesiatin dla Królestwa Polskiego znacznie przewyższa konieczne *minimum* i utrzymanie go pozbawiłoby prawa polowania na swojej własności większość obywateli ziemskich tutejszego kraju. Wobec tego bardzo byłby pożądanym dla tutejszego kraju mininimalny, ale zupełnie wystarczający *census* 150 diesiatin, z prawem normalnego wykonywania na tym obszarze polowania przez najwyżej trzy osoby, t. j. aby na każde 50 diesiatin przypadał jeden myśliwy“.

Godząc się zupełnie na wszystkie powyższe motywa zarówno ekonomicznej, jak i hodowniczej natury, zmierzające do zmniejszenia *censusu*, postawionego w projekcie, żałujemy, że Komisya w przedstawieniu swojem nie poszła dalej i nie utrzymała teraźniejszej normy 150 morgów. Że wysokość *censusu* nie odgrywa decydującej roli w hodowli zwierzyny, mamy przykład na Galicyi i W. Ks. Poznańskiem. W Galicyi obszar myśliwski wynosi około 10 włók, a mimo to zwierzostany sarny, zająca i kuropatwy są niższe, niż u nas, tymczasem w Poznańskiem, gdzie *census* wynosi tylko 150 morgów, rezultaty polowań przedstawiają cyfry, istotnie zazdrości godne. Zdaje się, że owo niemieckie „*kein Heger — kein Jaeger*“ jest owym moralnym bodźcem, który posiadaczy małych obrębów myśliwskich, skłania do dbałości o zwierzynę, a i u nas też znaną jest dobrze maxima, „że zwierzyna trzyma się myśliwego“. Mały posiadacz ziemski będzie staranniej hodował i pielęgnował zwierzynę przez wiosnę i lato, gdy będnie miał pewność, że na jesieni użyje owoców swej staranności, czy to w formie rozkoszy myśliwskiej w polowaniu, czy w wyższym czynszu dzierżawnym za polowanie. Tymczasem właściciel 8—9 włókowego folwarku nie będzie dbał o kiepskiego zająca lub kuropatwę, gdy ma to przeświadczenie, że tego „szkodnika“ zabić mu niewolno, a czynsz dzierżawny z jego przestrzeni, przymusowo przyłączonej do jakichś sąsiednich gruntów dla sformowania obrębu myśliwskiego, będzie nie nieznaczący.

Tylko zainteresowanie jaknajwiększej liczby rolników w hodowli zwierzyny mogłoby, według naszego zdania, doprowadzić zwierzostany do pożądanego poziomu, a to w naszym kraju możliwe będzie tylko

---

i zwyczaje tych zwierząt. Wynająłem się jako majtek, i pojechałem na wyspę św. Barbary, a w rok potem otrzymałem za pierwszego, żywcem złowionego lwa morskiego, od p. Barnuma czek na 10,000 dolarów.

Wyspa św. Barbary jest oddalona o sześćdziesiąt mil od wybrzeża kalifornijskiego. Zaopatrzyliśmy „Jennie Griffin“ w Santa Barbara, w małem, staroświeckiem, hiszpańskiem miasteczku nadbrzeżnem, gdzie miałem do rozporządzenia mnóstwo śmiałych zuchów, w połowie meksykańczyków, a w połowie indyan, i gdzie dorobiłem się na swym zawodzie myśliwskim.

Tu osiedliłem swą żonę. Nie jest to właściwie odpowiednie miejsce dla kobiety; tutaj, między skałami św. Barbary, gdzie wiatr południowo-zachodni wieje tak silnie, że trudno oddychać. Morze naokoło jest bezdenne, a wyspa zasiana niebezpiecznemi jaskiniami i rozpadlinami skalnemi. Opuściliśmy statek i w dwóch małych łódkach torowaliśmy sobie drogę przez groźne prądy między skałami. Naokoło wszystko białe od pieniących się fal. Huk bałwanów jest ogłuszający. Nic widać nic przez mgłę mleczno-białą, chwilami tylko spostrzegamy jaskinię skalną, napełniającą, to znowu wypróżniającą się wodą.

Wtem nagle, mimo szumu rozhukanego żywiołu, dochodził naszych uszu odgłos wycia i ryku lwów morskich.

W przeciągu minuty najlepszy pływak z moich ludzi wyskoczył z łódki i toruje sobie drogę między śliskiemi głazami a rozpadlinami skał; krok za krokiem, ustawicznie zagrożony śmiercią, przecisnął się do miejsca, gdzie miał widok, jaki mało kto oglądał kiedy: lwy morskie w ich naturalnem otoczeniu.

O ile jest jeszcze wczesny poranek, a zwierzęta są już po śniadaniu, to leżą one, jak gromadka bawiących się chłopców; rzucają rybę jeden drugiemu, jak to czynią na widowiskach, gdzie ciskają piłkę jeden drugiemu; dokazują i gimnastykują się, jak prawdziwe urwisy. Gdy zaś jest wcześniej, to przygotowują się jakby do wyprawy, i gromadnie jednocześnie dają nurka, by wydostać smaczną zdobycz. Po południu widzieć je też można, jak leniwie wypoczywają na słońcu; tu i ówdzie przerywa chwilami ciszę śpiącej gromady ochrypłe wycie, ale niechętne mruczenie daje jakby znać swawolnemu towarzyszowi, ażeby nie przeszkadzał w odpoczynku.

Tropiący lwy, rozgląda się i oryentuje w położeniu rzeczy, poczem wraca do łódek, które są przygotowane do połowu. Jedna z nich jest napełniona nagimi ludźmi, z których każdy jest uzbrojony w nóż i lasso, druga łódka zawiera materyał do ustawiania klatek.

(*Dok. nast.*)

przy nizkim *censusie* myśliwskim i dlatego wyraziliśmy żal, że Komisya w przedstawieniu swojem dotychczasowej normy nie utrzymała.

J. Z.

(C. d. n.).

W sprawie kul sztucerowych.

(Ciąg dalszy).

Również zauważyć muszę następujący wypadek: dzik strzelony był na kroków 40 na słabiznę, lecz szedł dobrze, chociaż wolno; udało się dać drugi strzał do boku z drugiej strony; dzik w 30 krokach od strzału zaległ. Przekonałem się zatem, że obie kule w dziku rozwinęły się zupełnie; żadna nie przeszła na wylot i każda pozostała rozpłaszczoną pod skórą z przeciwnej strony strzału. Niema najmniejszej wątpliwości, że gdyby dzik był strzelony na jakie 120 do 150 kroków, toby kula przeszła na wylot, jak to nieraz się zdarzało.

Dobrą stroną wydrążonych kul na polowaniu, zwłaszcza przy obławie, jest ta ważna bardzo okoliczność, że są bardzo bezpieczne, albowiem natrafiwszy na najmniejszą przeszkodę, zaraz się deformują i ubezwładniają; tymczasem przy strzelaniu pełnemi kulami lub w opancerzeniu, zupełnie co innego się przytrafia; żaden myśliwy nie może być pewny kierunku, który kula nabierze, szczególnie przy rykoszetach o drzewo, a bywają nawet rykoszety pod kątem prostym.

Streszczając zatem objawy działania kul tak zwanych rozrywających, eksplodujących, ekspansywnych, rozkwitających i tym podobnych, można przyjść do przekonania, że te kule, trafiając w żywego zwierza na krótką metę, zwłaszcza z głębokiem wydrążeniem, rozwijają się, płaszczą, przyczyniają w mięśniach straszne spustoszenia, na dalszą zaś metę, powyżej 150 kroków, działają na podobieństwo kul pełnych. Właściwie mówiąc, eksplodującą kulą można nazwać tylko taką, która jest wewnątrz napełniona masą wybuchową, czyli piorunującą, i od takiej kuli tylko można spodziewać się eksplozyi wewnątrz zwierza, przyczem kula się rospryska na drobne kawałki. Masa piorunująca wydaje przytem silną detonacyę na podobieństwo odgłosu wystrzału, i podobna eksplozya wewnątrz zwierza, pomijając już działanie rozerwanej na drobno samej kuli, ma taki ogromny i natychmiastowy wpływ i działanie na cały organizm zwierza, że ten natychmiastowo zostaje ubezwładniony. Przy podobnej eksplozyi wydobywa się masa dymu wybuchowego, który też wywiera swój wpływ. Wszelkie inne kule, nienapełnione tą masą, lub napełnione, w mięśniach będą tylko się rozwijały na bliższą metę, na dalszą zaś działają, jak kule pełne.

Według zasad nauki, bieg kuli najszybszy jest przy wylocie jej z lufy, następnie naturalnem prawem staje się coraz słabszym. Pewnik ten nie podlega kwestyi, i dziś z największą akuratnością obliczona jest szybkość początkowa biegu kul różnych kalibrów. Zdawałoby się zatem, że siła kuli, czyli jej penetracya na bliższą metę powinna być większa, aniżeli na dalszą, już choćby z tego względu, że kula na dalsze dystanse z natury rzeczy siłę swą stopniowo utraca; tymczasem w rzeczywistości i jak przekonywają doświadczenia, rzecz ma się zupełnie przeciwnie, i na zasadzie wielu doświadczeń przekonano się, że kule z broni dalekonośnej na bliższe mety mniej przedstawiają penetracyi, aniżeli na dalsze. Jakiś czas temu czytałem w gazetach, że został wynaleziony pancerz w Niemczech, którego na 200 kroków karabiny wojskowe nie przebijają. Odkrycie to miało swój rozgłos, i rzeczywiście mogło być bardzo interesującem. Następnie w kilka miesięcy dowiedziałem się, że przy następnych próbach, te same pancerze na 500 kroków były przestrzelone na wylot. Okoliczność tę zapamiętałem dobrze, i jako myśliwy bardzo zainteresowany we wszystkiem, co się tyczy broni, zwłaszcza sztucerowej, okoliczność powyższą starałem się zgłębić należycie. Przeglądałem pilnie, co mogłem mieć pod ręką, podręczniki, wydawane przez znanych puszkarzy angielskich, i inne źródła, lecz poszukiwania moje przez długi czas były bezowocne. Następnie w jakiś czas potem, wpadło mi w ręce małe dziełko: „Podręcznik, czyli Instrukcya obchodzenia się i strzelania z broni palnej“, wydany dla użytku wojskowego i dziś mający obowiązujące znaczenie. W tem dziełku znalazłem szukany przedmiot, lecz na nieszczęście w tak krótkich i treściwych wyrazach, że nie mogłem być należycie zadowolniony; mianowicie powiedziano: „że na dalszy dystans kule mają większą penetracyę dlatego, że się mniej deformują“. Lecz pytanie, dlaczego na większy dystans mniej się deformują, a na bliższą metę—więcej, zostało nierozjaśnione. Mając zatem na uwadze, że penetracya kul na dalsze dystanse (rozumie się względnie), jest większa, aniżeli na bliższe; że fakt ten jest stwierdzony i nie ulega kwestyi, nie przestawałem dalej dochodzić przyczyny tego zjawiska. W tym celu starałem się dobrze wystudyować szczegółowe balistyczne dane sztucerów różnych kalibrów, poczynając od 6 mm. czyli 236; zagłębiałem się w najmniejsze szczegóły, liczbę i głębokości gwintów, ich całkowity obrót w lufie, jak np. u Mausera, całkowity obrót na 220 mm. i 250 mm., a przy długości lufy na 600 mm. wypadnie, że kula w lufie robi do trzech prawie obrotów około swej osi. Posiłkowałem się również innemi wiadomościami, mającemi posłużyć do rozjaśnienia tej kwestyi, a również zebrałem wiadomości z dawniejszych lat o różnych wybitniejszych i oryginalnych strzałach, z których jeden dla bliższego wyjaśnienia należy tu oznaczyć.

Bazyli Petrow.

(Dok. nast.).

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

13 marca. Nad nami na drzewach papugi się gnieżdżą: wrzask, pisk, skrzek od samego rana. Do 9-ej oczekujemy raportów, żadnych jednak wiadomości nie przynoszą, wreszcie wracają wysłani ludzie z oznajmieniem, że przynęty nigdzie nie ruszone.

Aby tu daremnie czasu nie tracić, postanawiamy obóz zwinąć i dalej o kilkanaście mil w głąb dżungli się posunąć. Grant jedną stroną, ja drugą, puszczamy się w kierunku miejscowości Romnagar zwanej, gdzie wieczorem nowym obozem rozłożyć się mamy. Dżungla coraz gęstsza, okolica więcej górzysta i dzika. Z biedą przedzieram się konno za mym nagim przewodnikiem, który, jak małpa, ze skały na skałę skacząc, lub jak wąż w wysokiej trawie się wijąc, drogę mi wskazuje. Krajowcy tu widocznie myśliwi, niemal każdy z nich nosi strzelbę, jeżeli tem

mianem nazwać można ich broń, wobec której, powiązana sznurkami pojedynku naszego Poleszuka, pierwszorzędną Lankastrówką się wydaje. Poprostu jest to długa lufa do kawałka zakrzywionego drewna przywiązana, bez zamków ni kurków. Chcąc wypalić, trzeba proch przez dziurkę w lufie wydrążoną lonecikiem zapalić, a jednak od tej broni, z rąk krajowych myśliwych, padają setki zwierza, szczególnie jeleni i Nilgajów, które dla mięsa i skóry, masami strzelają. Ludzie tu dziksi, niż w okolicach Goony, białego boją się jak dyabła; mieszkają małemi osadami w środku dżungli w nędznych lepiankach, nieraz w ziemnych kryjówkach i jak mnie zapewniali, w braku lepszego pokarmu ścierwem nie gardzą.

Na haławie w wysokiej trawie udało mi się stadko gazelli zjechać; ledwo je z trawy widać było. Wybrawszy ładnego koziołka, strzeliłem go z ekspresa; po strzale podbiegł kilkanaście kroków i padł nieżywy. Większy od naszego rogacza, rogi ma prawie zupełnie proste, karbowane.

Musimy szybko się cofać. Gęste kłęby czarnego dymu wznoszą się przed nami. Dżungla się pali, widać płomień o kilkadziesiąt kroków. Szczęściem wiatr sprzyja, pędząc pożar równolegle z nami. O tej porze roku, pożary dżungli bywają dosyć częste; mała iskierka z fajki lub rozpalonego ogniska, wystarczy, by zająć suchą jak pieprz trawę, ogień z szybkością błyskawicy się szerzy, zajmując nieraz milowe wokoło obszary. Nikomu to nie szkodzi, o dżungle nikt nie dba, chyba zwierz spłoszony; przeciwnie nawet, na spalonym gruncie trawa bujniej wyrasta. Mówią, że krajowcy sami pożary umyślnie wzniecają, by lepszą trawę na wypas bydła otrzymać. Przejeżdżamy obszary spalonej dżungli; nagie konary drzew sterczą jak szkielety na okopconym, czarnym i kamienistym gruncie; pusto tu i martwo, ni ptaka, ni zwierza nie zobaczy. W południe złączyłem się z Grantem i jego partyą, która drugiem pasmem dżungli postępowała. Grant zjechał leżącego w trawie jelenia Sambura: z pierwszej lufy ładunek klapnął, z drugiej do pomykającego chybił i tak stracił sposobność ubicia tego pysznego jelenia. Koło 4-ej doganiamy bryki obozowe, w dali srebrzy się na ciemnem tle gąszczu i skalistych wzgórków szmat wody, małe jeziorko wśród dżungli, obok którego mamy obozować. Gdyśmy dojeżdżali do jego brzegów, krokodyl chlupnął z brzegu do wody. Ogromne te jaszczurki (Gavial gangeticus) pospolite są w Indyach, trudno je jednak zabić, gdyż strzelone, chociażby ranne śmiertelnie, uchodzą do wody i przepadają. Na jeziorku roi się od ptastwa wszelakich gatunków, których wyliczyć nie pozwala mi brak dostatecznych ornitologicznych wiadomości. Środek jeziorka czernieje od masy kaczek, nurków i łysek; po brzegach kroczą poważnie ogromne żórawie, parami się trzymając, niezliczona ilość białych czapli z płaskiemi dziobami, dalej czajki, kuliki i kulony nieznanych mi gatunków. Mając jeszcze przed sobą parę godzin do zachodu słońca, zamieniwszy sztućce na strzelby, rozstawiamy się w krzakach nad brzegiem jeziorka, posyłając paru chłopaków do wody, by kaczki ze środka spędzili. Zerwały się jak chmura i rozbiwszy w mniejsze stadka, poczęły krążyć nad nami, dając sposobność zużycia sporej ilości ładunków. Zabiłem pięć kaczek i kszyka; kaczki dwojakiego gatunku, jedne bronzowe z białemi lotkami i brzuszkami, zwane po angielsku gadwall (Chaulelasmus streperus), drugie większe, jak gęsi niemal, popielatego koloru, z białemi odmianami na szyi i brzuchu (Anser indica). Grant także parę kaczek ubił i wyszturkał gdzieś w krzakach zająca, co razem z kaczkami stanowi smaczny dodatek do dzisiejszego obiadu, przerywający nieco jednostajność wiecznej baraniny, zwykłej w całych Indyach, a w obozie wyłącznej niemal mięsnej potrawy.

14 marca. Dzień za dniem szybko mija, nigdy czas prędzej nie schodzi, jak na polowaniu w obozowem życiu. O grubszym zwierzu, niestety, nieliczne a właściwie żadnych wiadomości. Na kilkumilowej przestrzeni mamy porozstawiane woły na przynętę, tygrys dotąd żadnego nie ruszył. Grant do dnia pojechał na podjazd i z niczem powrócił. Postanawiamy przepędzić dzisiaj okoliczne knieje, jak to mówią „na podumajkę"; o tyle to ma swoją dobrą stronę, że do wszystkiego strzelać wolno.

Okolica mniejwięcej jednakowa, niezmierny obszar dżungli, skał niebotycznych i głazów, w kotlinie między górami płynie górski potoczek, wzdłuż którego mamy dziś polować.

W drugim miocie siedziałem na skale w głębi skalistego wertepu między dwoma wzgórkami. Ledwo naganka ruszyła, na prawo przedemną parę kamyków się stoczyło, gałęzie poczęły trzaskać i po chwili zoczyłem potężnego byka Nilgaja, który powoli i niezgrabnie, ostrożnie się rozglądając, spuszczał się z górki na poleć o jakie 60 kroków odemnie. Patrząc pod słońce wydawał się cały siny, prawie niebieski, ztąd też słusznie Anglicy „blue bull" czyli niebieskim bykiem go nazywają.

Poczekałem, aż z górki zeszedł i w chwili, gdy strumyczek w dole wertepu przeskakiwał, posłałem mu dwie kule ekspresowe. Po drugiej dał znak, jak łoś strzelony i w niezgrabnych susach rwał pod przeciwległy pagórek. Po odgłosie drugiej kuli byłem pewny, że w nim siedzi, jakoż gdy naganka doszła, podbiegłszy do miejsca strzału, zoczyłem na kamieniu pierwszą kroplę farby.

(C. d. n.).

POLOWANIE w TURCYI EUROPEJSKIEJ i krajach sąsiednich.

przez

Adama Czajkowskiego.

(Z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Instrukcya obejmowała wszelkie niezbędne szczegóły myśliwskich wypraw: oznaczała ona ilość ludzi, potrzebnych do zabijania zwierzyny bronią palną, pikami i szablami, wskazywała także rodzaje zwierzyny, których w danej miejscowości można się było spodziewać.

Często kilka okręgów łączyło się dla wspólnego polowania, szczególnie w takich miejscowościach, gdzie jeden okrąg był więcej lesisty i górzysty niż drugi, sąsiedni. Nieraz w podobnych polowaniach brali udział nawet sultani, uważając je za rodzaj wojennych manewrów dla swych wojsk.

Podobne ćwiczenia, powtarzane corocznie w ciągu długiego szeregu lat, w rezultacie przyczyniły się do wytworzenia w Turcyi owej znakomitej kawaleryi, która była postrachem całej Europy. Wszystkie zaborcze wojny Turcyi rozpoczynała konnica, wkraczając do nieprzyjacielskiego kraju, niszcząc go i oczyszczając szerokie przestrzenie dla reszty armii. Konnica Bośniaków, czyli akindżi, przejmowała postrachem i wnosiła śmierć i zniszczenie nawet do Styryi i Tyrolu. Nie mogły jej zatrzymać ani góry, ani bystre i szerokie rzeki, ani trudności oryentowania się bez map, które w owych czasach były Turkom nieznane. Skuteczność napadów na nieprzyjacielskie ziemie i umiejętność oryentowania się w nieznanych krajach, zależne były głównie od opisanych wojskowych polowań w czasie pokoju.

Turcya, tak europejska jak i azyatycka, stanowi obecnie bogatą skarbnicę dla myśliwych. Większa część

jej mieszkańców, nietylko muzułmanów, ale i chrześcian, nie używa zwierzyny na pokarm. Zające np. muzułmanie, z nielicznemi bardzo wyjątkami, zupełnie nie jadają, szczególnie surowo trzyma się tego zakazu sekta derwiszów-bektaszi, a jest ona bardzo liczna. Zabicie jelenia uważano jest za czyn niegodny, lecz można zabijać sarny i dzikie barany, czyli muflony. Wszystka ta zwierzyna znajduje się w Turcyi w wielkiej obfitości. Pewnego razu, kiedy polowałem z p. Blound'em, angielskim konsulem w Adryanopolu, spotkaliśmy między Kirk-killise a Burgosem stado jeleni, złożone z przeszło trzydziestu sztuk byków i łań. Wogóle ten rodzaj zwierzyny można spotkać tu wszędzie, z wyjątkiem Dobrudży.

Największą przeszkodę dla myśliwych stanowi w Turcyi niezapewnione osobiste bezpieczeństwo. Rozbójnicy gnieżdżą się tu całemi bandami, zamieszkując niektóre okolice po kilka lat z rzędu i polują ze swej strony na myśliwych, szczególnie na cudzoziemców.

Odpowiednio do warunków przyrodzonych, niektóre okolice kraju zamieszkuje zwierzyna stepowa, a inne górska.

Dobrudża ma charakter stepowy, wodę spotyka się tam rzadko; cały kraj wzdłuż i w poprzek poprzecinany jest wąwozami, zarośniętemi po większej części karłowatą dębiną i innemi krzakami. W tych zaroślach, stanowiących oddzielne, małe knieje, żyje mnóstwo kuropatw i zajęcy, oraz dropie i inne miejscowe ptactwo, nieodlatujące na zimę. Miejscowi mieszkańcy używają bardzo łatwego sposobu polowania na kuropatwy. W tych stepowych obszarach żyje także ogromna ilość ptaków drapieżnych, polujących na kuropatwy; te ostatnie więc, spostrzegłszy drapieżnika, powodowane instynktem samoochrony, chowają się pod kolące krzaki, obficie rosnące w stepach, i pod ich gałęziami szukają schronienia przed wrogiem.

Myśliwi, zauważywszy miejsce, nad którem uporczywie pławi się drapieżny ptak, i wiedząc, że tam musiało się ukryć stadko kuropatw, zbliża się ostrożnie i narzuca na krzak płaszcz lub inną część ubrania. Wtedy ptaki przywarowują i pozwalają się brać rękoma. Ten sposób polowania jest tam bardzo rozpowszechniony, a niektórzy myśliwi używają nawet siatek, któremi wygodniej można nakrywać kuropatwy. Jeżeli zaś której kuropatwie udaje się wylecieć z pod siatki, to bezwarunkowo staje się łupem drapieżnika. Godnem jest uwagi, że skrzydlaci rozbójnicy, zrozumiawszy zapewne przez długą praktykę korzyści takiego wspólnego polowania, jakgdyby umyślnie kierują swój lot ponad linią pochodu człowieka i ukazują mu miejsca, w których ukryła się zwierzyna. Tak przynajmniej opowiadali mi miejscowi myśliwi, korzystający zawsze ze wskazówek drapieżnego przewodnika.

Wilków w Dobrudży jest bardzo dużo. Trzymają się one głównie w trzcinach, rosnących na brzegach Dunaju, jego zatok i jezior, blizkich morskiego wybrzeża. Tutejsze wilki są daleko roślejsze od bałkańskich i wilków innych prowincyj. Są też one daleko niebezpieczniejsze, szczególnie dla licznych stad, pasących się w stepach Dobrudży. Z powodu braku bieżących wód w tej prowincyi, większa część gruntów pozostaje nieuprawną i służy za wyborne pastwisko dla zwierząt domowych, a szczególnie baranów, których stada liczą często po dziesięć tysięcy sztuk, a nawet więcej. Stada te należą do Bułgarów, zamieszkujących bułgarskie pasmo Bałkanów, w okolicy miasta Sliwno. Bułgarscy hodowcy owiec, żyjący w głębokich rozpadlinach Bałkańskich gór, łączą się w towarzystwa w celach hodowli i sprzedaży owiec, które wypasają na równinach Dobrudży. Tym sposobem, przez wydzierżawienie, zdobywają sobie pastwiska, których matka—przyroda odmówiła ich krajowi.

(C. d. n.)

Ze wspomnień starego myśliwego.

Trochę o zającu.

(Ciąg dalszy).

Są trzy rodzaje ponowy, które tu na przykładach objaśnię. Najprzód, gdy zawierucha z gęstym śniegiem trwa noc całą do białego dnia, wówczas zając nie schodzi z miejsca żerowania, a że zwykle kilka ich w blizkości siebie żeruje, co nieraz widzieć można w noc jasną, więc też w taką porę siedzą blizko jeden koło drugiego; tropu naturalnie niema żadnego, ale jednak upatrywać je nie trudno. I tak: wyszedłem na oziminę, która była tuż pode wsią; śnieg niemal do kolan; kopiąc się w nim, spostrzegłem o kilkadziesiąt kroków punkt ciemny, niewiększy, niż połowa orzecha włoskiego. Czyby to był zając, rozpoznać niepodobna, ale domyślałem się, że nie mogło to być nic innego, i tak było rzeczywiście. Niedługo potem zabiłem drugiego; było tego dosyć, bo to dźwigać ciężko, zawróciłem więc ku domowi, po drodze natknąłem się na trzeciego. To już było zanadto dźwigania, dobrze przynajmniej, że wieś była niedaleko, tymczasem szczęściem, czy nieszczęściem pod samą wsią pod dużym kamieniem siedział czwarty. Widział on mnie, kręcącego się po polu, słyszał strzały, pomknął więc trochę zadaleko, ale po strzale widziałem, że coś oberwał. Dwa moje wyżły poszły za nim prosto w wieś; gdym się tam dobił, pytam chłopa, czy daleko psy były od zająca i którędy poszły. Odpowiedział, że psy były niedaleko, a poszły dziurą w płocie wprost do dworu. Poszedłszy za tym śladem, zastałem moje psiska, ku wielkiej mojej uciesze, trzymające zająca w klombie pod oknem mego sypialnego pokoju.

Kiedy zawierucha ze śniegiem trwa noc całą, a ustaje dopiero około godziny szóstej rano, niema oczywiście tropów ani wieczornych, ani nocnych, są tylko ranne i to najpóźniejsze; byle je znaleźć, to i zając tuż. Po takiej zawierusze poszedłem gościńcem, spodziewając się, że jak tylko kot trafi nań, to pójdzie drogą, mając mniej śniegu. Rzeczywiście był trop, wprawdzie przykurzony śniegiem, ale zawsze dość wyraźny. Ponieważ gościniec prowadził do lasu, zdawało mi się, że zając tam pójdzie, tymczasem kawałek jeszcze przed lasem, zwrócił na pole wprost do starego rowu, zarośniętego kępkami łozinki, a po bokach kilkoma kępiastemi sosenkami; nie patrząc na trop, szedłem wprost do rowu. Obserwowałem każdy krzak, ale zająca nie było. Myślałem, że zwrócił i poszedł do lasu; obszedłem rów kołem, ale tropu nie było. Przyszło mi na myśl, że idąc prawym bokiem rowu, mógł zając być za krzakiem z drugiej strony; przeszedłem więc na drugą stronę, pilnie wpatrywałem się w każdy krzak, ale i teraz zająca nie było; zobaczyłem tylko zaczęte dwie, czy trzy kotliny w rowie. Oczywiście zając poszedł do lasu, tylko ja nie dopatrzyłem tropu. Zdarza się bowiem, że zając, zrzucając, daje 3—4 wielkie susy, zebrawszy wszystkie cztery skoki razem, przez co robi dołki w śniegu niewiększe, jakgdyby kto sztarchnął weń czterema skupionemi palcami. Obszedłem więc rów jeszcze większem kołem i tropu nie było. Teraz już nie podlegało wątpliwości, że zając jest zasypany w rowie. Rad nie rad wlazłem w rów powyżej kolan; przyszedłszy do kotliny, właśnie wypadło mi postawić w niej nogę, ale zaledwie dotknąłem się śniegu, zając wyskoczył.

Drugi wypadek: po nocnej burzy ze śniegiem, przededniem zaczął padać deszcz. Pojechaliśmy z sąsiadem z chartami. Powlókł się za końmi stary, kula-

wy wyżel sąsiada. Wkrótce znaleźliśmy trop, ale tak rozchlapany, że raczej podobniejszy był do tropu niedźwiedzia. Nie mogliśmy się zdecydować, czy to jest trop dzisiejszy, czy odwieczny jakiś. Jechaliśmy jednak za nim—jeden jednym, drugi drugim zagonem. Jak mi później opowiedział sąsiad, zobaczył on w bróździe dziurkę w śniegu. Strzelił w nią zupełnie bezmyślnie z harapa, gdy w tej chwili skoczył w górę zając, trafiony w nos. Gdybyśmy byli szybko oprzytomnieli, to czy jeden, czy drugi mógłby go złapać za słuchy; ale gdy spadł na ziemię, pochwycił go wyżeł, lecz niebawem wyrwał mu się; trzeba było puścić na niego charty. Rozpisałem się może zadługo w tym przedmiocie, ale chciałbym zwrócić uwagę niedoświadczonych, jak to nie trudno jest dać za wygraną i pozostawić zająca w śniegu.

Gdy śnieg spadł w nocy, zwłaszcza niewielki, a ustał około godziny czwartej, piątej, jest wtenczas pełno tropów, i wieczornych, gdy zając szedł na żer, i rannych, gdy wracał do miejsca; jedne i drugie łatwe są do rozpoznania; wtedy zając idzie zupełnie prosto w dużych skokach, ale, gdy się znajdzie, że poszedłszy drobno w prostym kierunku, wrócił tym samym tropem, czasem jeszcze raz tam i napowrót, poczem zaczyna zrzucać na prawo, na lewo, grzebać kotliny, to już napewno jest niedaleko. Chodzenie za temi kluczkami niecierpliwi zająca i zwykle zadaleko pomyka. Zamiast więc sylabizowania po tropach, trzeba upatrywać stosowne miejsce, jak np. mały krzaczek, stojący pojedyńczo, duży kamień, gruszka, małe bagienko, wysunięty róg krzaków, czy lasu i t. p. Idąc niebawem do takiego miejsca, albo się zająca upatrzy, albo on pomknie na dobrą metę. Razu pewnego przyjechałem do kuzyna. Nazajutrz, po ładnej ponowie poszliśmy na pole; wkrótce znaleźliśmy kluczki. Kuzyn zaczął chodzić za niemi; odradzałem mu to, ale nie posłuchał, poszedłem więc do poblizkiego bagienka. Ponieważ dzień był jasny, zdaleka już widać było trop, prosto idący ku niemu. Przyszedłszy, zastałem je zupełnie zarównane śniegiem, czubki tylko kęp wyglądały. Zając wszedł pomiędzy nie, a że naokoło bagienka nie było tropu, wszedłem więc w kępy i zając wyskoczył natychmiast. Wogóle po każdej zawierusze nocnej, z wyjątkiem takiej, która trwała do białego dnia, zawsze zająca znaleźć można podewsią, czy to w zaspie koło płotu, czy wprost pod płotem.

K. Dębicki.

(Dok. nast.)

PRZYPOMNIENIE.

Wieść o pojawieniu się kilku zbłąkanych wilków, silnie w roku zeszłym zaniepokoiła tak myśliwych, jak i zwykłych śmiertelników. Jak z rogu obfitości, nietylko w specyalnym naszym organie, ale i w prasie codziennej, posypały się przeróżne rady, mające na celu niby jaknajśpieszniejsze pozbycie się tych nieproszonych gości, mogących zakłócić spokój tchórzliwym ludziskom, lub narazić na niebezpieczeństwo pasący się bez dozoru dobytek, jako też i zwierzynę. Zatrąbiono więc pobudkę na alarm, tylko, że wilczyska, zaraz ją posłyszawszy, bez żadnej dla siebie szkody, zdążyły wyrejterować, dusząc po drodze kilka świńtuchów, by tem przynajmniej za dokumentować śmiałą wycieczkę w nasze strony.

Mówiąc szczerze, to w pierwszej chwili wyczytawszy w dziennikach te wieści, puściłem je mimo ucha, sądząc, że pochodzą, jak wiele innych, z wątpliwego źródła. Skoro jednakże odezwali się myśliwi i poważnie sprawę tę traktować zaczęli, wtedy zaciekawiony, baczniejszą w tę stronę zwróciłem uwagę. Co prawda, nie miałem obawy niebezpieczeństwa dla ludzi, albowiem w dzisiejszych czasach powszechnego postępu, i wilczyska zmieniły taktykę, lecz dostrzegłszy u naszych myśliwych troskliwość o cudze dobro i obawę o całość swojej zwierzyny, to z objawu tego niezmiernie się uradowałem.

Nie widzę potrzeby dowodzenia szkodliwości wilków, gdyż to oddawna dostatecznie sprawdzono, uważam tu tylko za konieczne nadmienić, gdyż od oburzenia powstrzymać się nie mogę, aby w dzisiejszych czasach swobodne przebywanie gdziekolwiekbądź tych drapieżnych zwierząt, dozwolonem i cierpianem być jeszcze mogło. Wobec znanych teraz, praktycznych sposobów tępienia wilków, to ani zbyt obszerne lasy, ani rozległe błota, jak i małe zaludnienie okolicy, nie mogą stanowić żadnych przeszkód i wymówek. Potrzeba tylko nieco dobrej woli, oraz wyzbycia się egoistycznych upodobań tych licznych jeszcze jednostek, zamieszkujących prawą stronę Bugu i Niemna. Że tak jest w istocie, dostatecznie przekonać się mogłem, przebywając lat kilka w jednej z gubernij, nie tak zbyt oddalonej od granic naszego kraju. Wiejska ludność tamtejsza, chociaż uważa wilka za wielce dla siebie szkodliwego, jednakże w pokorze ducha, woli wyrządzoną przez niego krzywdę, uważać za dopuszczenie Boskie, niż wyczekiwać daremnie opieki, która się jej z prawa niby należy. Co się zaś tyczy ogółu tamtejszych myśliwych, którym właściwie należałoby przyjąć na siebie zaszczytną inicyatywę walki z tym drapieżnikiem, to ci, mówiąc otwarcie, jeszcze do tego tam nie dorośli. Przeważna ich większość dozwala rozmnażać się wilczyskom, a nawet chwali się, że je przykarmia padliną, aby módz pod jesień popukać sobie do gniazdowych wilcząt. Wobec takiego stanu rzeczy, wszelkie usiłowania postępowych myśliwych, coby radzi wprowadzić na inne tory tamtejsze łowiectwo, nie na wiele się przydadzą i dużo jeszcze upłynie czasu, zanim tamtejsze lasy przestaną świecić pustkami, zapełniając się szlachetną, kulturalną zwierzyną.

Dla zabezpieczenia się od wilczych nabiegów, myśliwi nadgranicznych naszych powiatów, powinni przyjąć na siebie zaszczytną rolę utworzenia kordonu bezpieczeństwa, tak we własnym jak, i innych interesie. Sądzę, że gdyby myśl moja znalazła nieco uznania, a przytem należycie przez zdolniejsze pióro popartą została, niewątpliwie w krótkim czasie dobre skutki ujawnićby się mogły.

Przejdę teraz do innej, ale już miejscowej sprawy, w której pragnąłbym zwrócić baczniejszą uwagę na szkodnika, niedostatecznie jeszcze przez wielu naszych myśliwych ocenionego. Mam tu na myśli lisa, który chociaż nie jest, jak wilk, groźny dla dobytku naszych włościan, z wyjątkiem chyba drobiu, jednakże, gdy zechcemy dokładnie przyjrzeć się jego sposobowi życia, znajdziemy tyle stron ujemnych, że doprawdy dziwić się należy, jak ten krwiożerczy szkodnik może być jeszcze tak licznie u nas spotykany.

Nie idzie mi bynajmniej o wyczerpujące opisanie tego zwierza, a tylko, jako myśliwy-hodowca, chciałbym zwrócić uwagę na jego szkodliwość w niszczeniu naszej zwierzyny, dla której jest groźnym, nigdy nie dającym pardonu, nieprzyjacielem. Dla dokładniejszego przedstawienia, postaram się przytoczyć nietylko własne obserwacye, zdobyte długoletnią praktyką, ale i zdanie innych doświadczonych myśliwych, co, jak sądzę, dla młodszej generacyi hodowców zwierzyny, może nawet wypaść z pożytkiem.

Lis, jako zwierz pokryty puszystem futrem, znakomicie chroniącem ciało ludzkie od dokuczliwego zimna, od niepamiętnych czasów był przedmiotem zabiegliwości człowieka. W najrozmaitszy sposób od tak dawna prześladowany, wyrobił w sobie czujną baczność na wszystko, co tylko podejrzenie zdrady budzić może. Obdarzony bystrością wzroku, delikatnemi organami słuchu i węchu, łatwiej od innych czworo-

nogów oryentować się może, w czem też rzeczywiście celuje doskonałością. Jako żywiący się przeważnie mięsem, potrafi znakomicie zdobywać je cierpliwością, umiejętnością podejścia i rzutkością ruchów. Baczny na wszystko, co go otacza, a najcichszy szelest, poruszenie, czy też głos, nie uchodzi jego uwagi. To też każdą okoliczność wybornie na swoją korzyść zawsze wyzyskać umie. Nie jest tak szybki w biegu, jak zając, za to jest od niego wytrwalszy. Nie przywiązuje się wcale do rodzinnej strony, i jest, jak cygan, włóczęgą z natury, zatrzymując się dłużej jedynie tam tylko, gdzie dostatek pożywienia znajduje, a że zawsze bywa przy dobrym apetycie, więc tak w dzień, jak i w nocy, ruchliwe prowadzi życie. Skoro tylko zauważy, że miejscowość, w której przebywa, nie może mu już dostarczyć tyle żywności, ile potrzebuje, to natychmiast bez żalu ją opuszcza, a dla wyszukania odpowiedniejszej, dalekie wędrówki odbywać jest gotów i z tego powodu jest niezmiernie trudny do wyniszczenia. Na niepogodę mocno jest wrażliwy, więc też w słoty i śnieżne zawieje w jamach zwykle przebywa.

J. Biesiekierski.

(Dok. nast.).

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 18 stycznia. Na posiedzeniu tem rozpatrywano kilka skarg na kłusownictwo, ciągle u nas grasujące. Wszystkie sprawy wdrożone zostaną we właściwych urzędach powiatowych.

P. gubernator siedlecki donosi, że strażnik siedleckiej komendy, Stefan Dażewicz, został zabity przez kłusownika. Gonił on go konno, a gdy, pomimo groźby ze strony kłusownika, że będzie strzelał, D. dotarł do niego na 10 kroków i zeskoczył z konia, by pochwycić złoczyńcę, ten zwrócił ku niemu morderczą broń i strzeliwszy, zabił go na miejscu. Po zabitym pozostała żona z dzieckiem i matka, staruszka chora, utrzymywana przez zabitego. Rada postanowiła wyasygnować 200 rb., jako jednorazową pomoc dla rodziny zabitego strażnika.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W d. 19 grudnia r. z. odbyło się polowanie w pow. sieradzkim w Inczewie, u p. Stefana Walewskiego. W 16 strzelb padło: 220 zajęcy i 8 kuropatw. Królem polowania był p. Jan Niemierski, mając na rozkładzie 33 sztuki.

Na polowaniu w Parzymiechach w d. 20, 21 i 22 grudnia r. z. zabito w 4, względnie w 5 strzelb: 1 lisa, 508 zajęcy, 21 królików, 293 bażanty, 26 kuropatw i 6 szkodników—ogółem 855 sztuk. Królem polowania był ks. Konstanty Lubomirski, mający na rozkładzie 264 sztuki. Pierwszy sztrejf pierwszego dnia nie dopisał z powodu okiści. Pierwszego dnia wzięto 2 sztrejfy leśno-polne, drugiego dnia 2 sztrejfy leśne, trzeciego dnia naganki w bażantarni.

W Olesznie, w pow. lipnowskim, u p. Antoniego Karnkowskiego odbyło się polowanie w d. 22 grudnia r. z. przy współudziale 10 myśliwych. Pomimo znacznej ilości zwierzyny, padło tylko 64 zające.

W d. 22 grudnia r. z. odbyło się polowanie w Kuźnicach (pow. włocławski) u p. Mittelstaedtu, na którem zabito: 43 zające i 8 kuropatw.

W d. 23 grudnia r. z. odbyło się polowanie u pana Haacka w Dębicach (pow. włocławski), na którem padło: 2 rogacze, 1 lis, 68 zajęcy i 1 kuropatwa.

W d. 28 i 29 grudnia r. z. (s. s.) odbyło się w dobrach Połońskich na Wołyniu u hr. St. i J. Dunin-Karwickich, doroczne polowanie, na którem w 8 strzelb zabito: 75 zajęcy, 12 dzików i 1 jarząbka. Na polowaniu obecni byli: ks. Stanisław i Hubert Lubomirscy z Równego, hr. Józef D.-Karwicki, pp. Wojciech Jarzymowski, St. Rozenwert, H. Głogowski i J. Machczyński. Celnością strzałów oraz największą ilością sztuk ubitej zwierzyny na rozkładzie wyróżnili się: ks. St. i H. Lubomirscy oraz p. St. Rozenwert. Pierwszego dnia polowano wyłącznie na zające, drugiego przyszła kolej na dziki. Dzień ten był niezmiernie obfity w epizody myśliwskie: na tle krwawych zapasów psów z postrzałkami wybitnie zaznaczył się piękny epizod z potrzelonym wycinkiem, który broniąc się zajadle przeciw rozjuszonym psom, otrzymał śmiertelne pchnięcie kordelasem w komorę od ks. Huberta Lubomirskiego, jednogłośnie dnia tego królem polowania obwołanego.

W d. 3 stycznia w Kaniem (pod Lublinem), majątku Mieczysława ks. Woronieckiego, polowano w 6 strzelb, przy 16 R°. poniżej zera. Trofeami myśliwych stały się: 3 kozły, 4 lisy, 46 zajęcy i 11 kuropatw. Królem polowania został Kazimierz hr. Ronikier, który miał na rozkładzie wszystkie kozły, 10 zajęcy i 5 kuropatw. W łowach tych wziął też udział Józef ks. Woroniecki.

W dobrach Końskie Wielkie, Juliusza hr. Tarnowskiego, odbyło się w d. 3 i 4 stycznia polowanie. W 8 strzelb zabito: 4 dziki, 11 rogaczy, 1 lisa, 170 zajęcy, 1 bażanta i 4 kuropatwy.

U pp. Ludomiłostwa Puławskich w Grzymiszewie (gub. kaliska) polowano w d. 4 stycznia. Mimo fatalnej pogody padło 76 zajęcy, rogacz, lis, para kuropatw i 3 dziki. Królem polowania był artysta malarz, p. Karol Wierusz-Kowalski z Posady, który miał na rozkładzie 2 dziki i 7 zajęcy.

D. 4 stycz. odbyło się doroczne polowanie w Wierzchlasie, dzierżawione przez kółko wieluńskich myśliwych, mianowicie przez pp. Starowicza, Winklera i innych, na którem w 18 flint zabito: 137 zajęcy, 5 kuropatw i 3 psy — włóczęgi.

D. 4 stycznia odbyło się polowanie w Cychrach i Grabowie, w pow. kozienickim, u pp. Adama i Jana Komornickich w 10 strzelb. Zabito: 62 zające, kozła, 4 kuropatwy i 2 cietrzewie. Królem polowania był p. Szczuka z Winiar, zabiwszy 11 zajęcy.

W d. 4 stycznia w Czernikowie (gub. kaliska) u p. B. Pstrągowskiego odbyło się polowanie, na którem 12 myśliwych zabiło 66 zajęcy i 2 kuropatwy.

W Nowej Wsi, w pow. lipnowskim, u p. Stanisława Gniazdowskiego w d. 5 stycznia odbyło się polowanie w 10 strzelb i zabito: 1 lisa, 52 zające i 3 kuropatwy.

W d. 5 stycznia odbyło się polowanie w Zębinie (pow. włocławski) u p. Białeckiego, na którem zabito: 64 zające i 2 kuropatwy.

W d. 5 stycznia na terytoryum myśliwskiem, dzierżawionem przez p. Ludwika Orsettiego, w dobrach Siemienice, w pow. kutnowskim, gub. warszawskiej, mimo fatalnej pogody, w 14 strzelb zabito: 83 zające i 14 kuropatw.

W Sokolnikach (pow. łęczyczki) u p. Edwarda Herbsta w d. 7 stycznia w 18 strzelb zabito: 321 zajęcy, 23 bażanty, 3 kuropatwy, 4 rogacze, 1 jastrzębia; ogółem 352 sztuki. Królem polowania był p. Karol Scheibler, który miał na rozkładzie 37 sztuk.

W d. 7 stycznia odbyło się w Smólsku, w Kaliskiem, u pp. Woydów doroczne polowanie, na którem w 12 strzelb zabito: 157 zajęcy i 50 kuropatw. Królem polowania był p. Zygmunt Busse. Licznie zebrani goście podejmowani byli z prawdziwą polską gościnnością przez kilka dni, a wśród obecnych widzieliśmy nietylko obywateli z różnych stron Królestwa, ale i z W. Ks. Poznańskiego oraz z gub. mohylowskiej.

W Chróścinie, w pow. wieluńskim, majątku p. Łopuchina, odbyło się w d. 8 stycznia polowanie w 6 strzelb na którem zabito: 152 zające, 4 rogacze, 34 bażanty, 18 królików i puhacza. Królem łowów był p. Rappard.

W majątku Sobota p. Artura Stokowskiego, odbyło się polowanie w 9 strzelb d. 9 stycznia, na którem zabito: 248 zajęcy, 5 rogaczy, 12 kuropatw i lisa. Królem łowów był p. Bogusław Stokowski.

Na odbytem w d. 9 stycznia polowaniu w Krzyżanowie i Krzyżanówku u pp. Różyckich, w 11 strzelb zabito: 186 zajęcy i 7 kuropatw. Królem łowów był p. Adam Piędzicki, który miał na rozkładzie 39 sztuk. Nadmienić należy, że cztery lata temu na tej przestrzeni zabito tylko 28 zajęcy, co dowodzi, że zwierzostan znakomicie się poprawia.

W d. 9 stycznia w Złotnikach Wielkich, pow. kaliskiego, własności p. Henryka Łączyńskiego, odbyło się polowanie, na którem w 16 strzelb zabito: 160 zajęcy, 2 bażanty, 3 kozły i 10 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie, 24 sztuki, miał p. Wacław Niemojowski z Marchwacza.

W d. 9 i 10 stycznia odbyło się polowanie w Sertomii, w pow. rawskim u p. Bolesława Jackowskiego. W 14 flint zabito: 1 jelenia, 3 rogacze, 5 lisów, 85 zajęcy, 24 bażanty, 30 kuropatw; razem 148 sztuk. Na rozkładzie równą ilość zabitych sztuk mieli pp. Lech Morzycki i Tadeusz Busse.

W d. 9, 10 i 11 stycznia odbyły się polowania u p. Henryka Blocha w dobrach Łęczna, w gub. lubelskiej. Pierwszego dnia w 9 strzelb, w sztrefie i dwóch kotłach padło: 197 zajęcy, 21 kuropatw i 1 lis. Królem łowów był Tomasz hr. Zamoyski (junior), mając na rozkładzie 41 sztuk. Drugiego dnia w tym samym komplecie, w dwóch kotłach i pięciu małych pędzeniach w stumorgowym lasku, zabito: 362 zające i 12 kuropatw. W tym dniu królował p. Stanisław Lilpop, mając 67 sztuk. Trzeciego dnia polowano w 5 strzelb, w odległych leśnych rewirach, gdzie padło: 75 zajęcy, 71 bażantów, 1 rogacz, 1 cietrzew i 1 jastrząb. Królem tego dnia był hr. August Stanisław Potocki, mając na rozkładzie 39 sztuk. Ogólny rezultat wykazał na sztrece: 634 zające, 33 kuropatwy, 71 bażantów, 1 rogacza, 1 lisa, 1 cietrzewia i 1 jastrzębia; razem 742 sztuki. Królem łowów z trzech dni okazał się hr. A. S. Potocki (130 sztuk). Warunki atmosferyczne były niepomyślne: odwilż, bardzo silny wiatr i drobny deszczyk od czasu do czasu.

W dobrach Suchodzkich u p. Maryana Kiniarskiego odbyło się polowanie d. 10 stycznia. Przy zadymce w 20 strzelb ubito 264 zające i 15 kuropatw. Królem łowów był p. K. Witkowski (51 sztuk). Zwierzostan w Suchodzkiem stale się powiększa; cztery lata temu padło 70 zajęcy.

W d. 11 stycznia u p. Witolda Romockiego w Kamieniu (pow. kaliski), zabito 307 zajęcy, 37 królików, 3 lisy, 3 kozły i 3 kuropatwy.

W d. 11 stycznia odbyło się polowanie w Kamiennej (pow. pułtuski) u p. Ciechomskiego; zabito 78 zajęcy. Królem polowania był p. Edward Busse.

We środę, d. 11 stycznia w dobrach Łazy (pow. sochaczewski) u p. Ludwiki Karnkowskiej odbyło się polowanie. W 12 strzelb zabito 148 zajęcy. Łowom nie sprzyjała aura, takiej niepogody bowiem, jak podczas tego polowania, najstarsi myśliwi nie pamiętają. Mimo to brała w niem udział córka pani domu, panna Iza Karnkowska, i to tak wytrwale, że dotrzymała placu przez cały czas wszystkim myśliwym. Wynik polowania w tych niepomyślnych warunkach atmosferycznych, świadczy doskonale o rozwoju zwierzostanu w Łazach. Honory gospodarza czynił obok panny Izy Karnkowskiej brat jej, p. Władysław Karnkowski. Królem łowów był p. Józef Kaczorowski z Rybna.

W Skoblinie, w pow. wieluńskim, majątku p. Ignacego Bąkowskiego, polowano d. 12 stycznia, gdzie w 5 strzelb zabito: 185 zajęcy, 3 rogacze i 5 cietrzewi. Królem łowów był p. Rappard, który miał na rozkładzie 56 zajęcy.

W d. 11 i 12 stycz. odbyło się doroczne polowanie w Woli Pękoszewskiej, dobrach p. Antoniego Górskiego. Pomimo bardzo złej pogody, pojawiającej się parokrotnie zadymki i silnego wiatru, zabito w 10 strzelb, na części terytoryum tylko: 354 zające, 8 kuropatw, 2 lisy i kaczkę. Sarny, których widziano w rewirach leśnych dużo, strzelane bywają wyłącznie na podjeździe. Obfitość zwierzyny, wzorowe urządzenie polowania i niezrównana gościnność, zapisana głęboko w pamięci szczęśliwych uczestników, do najmilszych należeć muszą wspomnień. Do grona myśliwych należeli: H. Sienkiewicz z synem, hr. S. Jezierski, hr. E. Krasiński, hr. Z. i E. Platerowie, hr. S. Łubieński z Białorusi, dr. St. Zaborowski, p. S. Wrotnowski i brat gospodarza, p. Ludwik Górski. Jednogłośnie królem polowania obwołanym został hr. Z. Plater.

W d. 12 stycznia odbyło się polowanie w Karcznicach (pow. łęczycki) u p. Adolfa Wernera; w 9 strzelb przy bardzo złej pogodzie padło 61 zajęcy, 1 rogacz i 1 lis. Królem polowania był p. Paweł Niemierski ze Skotnik, mając na rozkładzie 10 zajęcy i 1 rogacza.

W Kożuszkach, w pow. sochaczewskim, u p. Donimirskiej odbyło się w d. 12 stycznia polowanie, na którem w 8 strzelb zabito 70 zajęcy i 10 kuropatw. Królem polowania był p. Zygmunt Donimirski. Pogoda była bardzo niepomyślna dla polowania.

W d. 12, 13 i 14 stycznia w majątku Kapciewisze u p. Aleksandra Lenkiewicza na Polesiu Mozyrskiem odbyło się doroczne polowanie, na którem zabito w 4 strzelby: 1 dzika-odyńca (482 f.), 2 wilki i 3 rysie. Szczególną osobliwością były rysie, 3 stare samice, wspaniałe okazy fauny Poleskiej. Świetny rezultat polowania trzeba zawdzięczać dobrej organizacyi polowania i użyciu straszaków na sznurach, umieszczonych w odległości dwóch sążni jeden od drugiego, których jednostajnie słucha wilk, ryś i dzik.

W d. 13 stycznia u pana Zygmunta Siemiątkowskiego w Męckiej Woli w pow. sieradzkim, gub. kaliskiej, w 10 strzelb zabito: 88 zajęcy, 2 kozły i 1 cietrzewia.

D. 14 stycznia odbyło się polowanie w Leśmierzu (pow. łęczycki) u pana Wład. Boettichera przy bardzo silnym wietrze wschodnim i chwilami zamieci śnieżnej zabito w 16 strzelb: 248 zajęcy i 3 kuropatwy. Najwięcej zabił, bo 31 sztuk, p. Silewicz. Zwierzostan w Leśmierzu jest bardzo obfity, część majątku nie była opolowana wcale, a gdyby nie taki zły dzień, padłoby znacznie więcej.

W d. 16 stycznia odbyło się polowanie w Pieskowicach (pow. łęczycki) u p. Miecz. Stokowskiego, gdzie w 9 strzelb zabito 130 zajęcy, 25 kuropatw i 1 jastrzębia. Jestto rezultat bardzo słaby w stosunku do wielkiego zwierzostanu w tym majątku, przypisać to jednak należy mroźno-wietrznej pogodzie, która utrudniała celne strzelanie myśliwym. Królem polowania był p. Edward Kremky, mając na rozkładzie 25 sztuk.

W d. 16 stycznia odbyło się polowanie w Sarnowie (gub. siedlecka) u p. Jana Dmochowskiego w 11 strzelb, na którem w sześciu leśnych miotach zabito 3 kozły, 2 lisy i 45 zajęcy. Pól wcale nie zajmowano, polowanie bowiem zbyt późno się rozpoczęło. Najwięcej na rozkładzie miał p. Zawadzki z Ryżek, a mianowicie 2 kozły, 1 lisa i 7 zajęcy. Rezultat znakomity, jak na nasze łukowskie stosunki — wogóle nie możemy się pochwalić dobrym zwierzostanem. Wyżej opisane polowanie należy do bardzo nielicznych wyjątków. Majątek Sarnów znajduje się w bardzo niekorzystnych warunkach, jest bowiem otoczony zewsząd okolicznemi wsiami, zamieszkanemi przez biednych raubszyców. Walka z nimi nieustająca dobrze świadczy o silnej woli właściciela majątku, by doprowadzić zwierzostan do dobrego stanu. Godne naśladownictwa.

W d. 16 stycz. w Żychlinie u p. Bronikowskiego w 12 flint zabito: 112 zajęcy, 20 królików i 1 kozę. Na jednym z zakładów ujęto z bronią podwójta miejscowego i strażnika, którzy przybyli na polowanie na własną rękę. Dopiero na żądanie jednego z wojskowych uczestników polowania, obaj raubszyce złożyli broń, którą pod jedną z sosen rozstrzelano i szczątki odesłano do urzędu powiatowego w Koninie. Królem polowania był p. Mielęcki, który miał na rozkładzie z górą 30 sztuk.

U p. Władysława Kiślańskiego w Jaworzynie, w pow. wieluńskim, zabito na polowaniu d. 16 stycznia: 142 zające, 3 rogacze i 4 kuropatwy. Polowano w 5 strzelb. Najwięcej zajęcy na rozkładzie miała panna Felicya Bąkowska.

W d. 16 i 17 stycznia odbyło się w 8 strzelb polowanie w Marchwaczu, pow. kaliskiego, u p. Wacława Niemojewskiego. Zabito 618 zajęcy, 12 kuropatw, 3 rogacze, lisa i bażanta. Pierwszego dnia królem polowania był p. Zygmunt Siemiątkowski z Męckiej Woli, mając na rozkładzie 53 sztuki; drugiego zaś p. Henryk Łączyński ze Złotnik Wielkich, zabiwszy 57 sztuk.

W d. 16 i 17 stycznia odbyło się polowanie w dobrach Rychłowice, u p. Adama Nekandy-Trepki, na którem zabito z 15 strzelb: 303 zające, 19 kuropatw, 25 królików, 2 lisy, 2 rogacze i 4 cietrzewie. Postrzelono prócz tego ciężko jelenia, który jednak zdołał przejść na sąsiednie lasy. Królem polowania był p. Stanisław Murzynowski.

W Dąbrowicy, gub. wołyńskiej, majątku hr. Wiktora Broel-Platera odbyło się polowanie d. 16, 17 i 18 stycznia Ubito: 6 dzików, 1 rogacza, 3 lisy, 10 jarząbków i 52 zające. Oprócz gospodarza i synów uczestniczyli w polowaniu pp.: ks. Stanisław, Adam i Hubert Lubomirscy, ks. Karol i Janusz Radziwiłłowie, hr. Andrzej Morstin, hr. Poniński, Walewski i pułkownik Miesojedoff.

W d. 18 stycznia odbyło się polowanie w Mielżynie (pow. włocławski) u p. J. Zglinickiego. W 14 strzelb zabito 64 zające i 10 kuropatw. Królem był p. Józef Lutomski, właściciel dóbr Linne w Rypińskiem, który miał na rozkładzie 10 zajęcy i 5 kuropatw.

W d. 19 stycznia odbyło się polowanie w majątku Smiłowice p. Findeisena, na którem w 12 strzelb zabito 60 zajęcy. Królem był, jak zwykle w naszym powiecie, p. Zygm. Busse z Redcza, mając na rozkładzie 23 zające.

Na gruntach m. Kowal, dzierżawionych przez spółkę myśliwych z Włocławka, odbyło się polowanie d. 19 stycznia na którem zabito 65 zajęcy, 5 kuropatw i lisa. Że na gruntach Kowala mamy obecnie taki zwierzostan w porównaniu z dawnym, gdzie padało na takiem polowaniu 20 zajęcy, możemy zawdzięczać p. Bolesławowi Sztejnerowi z Włocławka, energicznie prześladującemu kłusowników.

W d. 21 stycznia odbyło się polowanie w leśnictwie Kabaty, należącem do dóbr Wilanowskich hr. Ksawerego Branickiego. W 12 strzelb przy sprzyjającej pogodzie zabito: 4 bażanty, 28 rogaczy i 321 zajęcy. Królem polowania był ks. Zdzisław Lubomirski, który miał na rozkładzie 51 zajęcy i 6 rogaczy. Świetny stan sarn sprawiał uczestnikom polowania prawdziwą rozkosz myśliwską, nie było bowiem miotu, w którymby sarny nie snuły się gromadnie. Wogóle polowanie w Kabackiej kniei jest jednem z najlepszych i najmilszych w naszym kraju.

Na polowaniach głównych Ordynacyi Łańcuckiej, w których między innymi gośćmi brali udział, w Seryi polowań A) Jego Król. Wys. Ks. Braganza, a w Seryi polowań B) Jego Ces. Król. Wys. Arcyks. Franciszek Ferdynand, strzelono:

Data 1904	Liczba strzelców	REWIR	Bażanty	Kuropatwy franc.	Kuropatwy zw.	Kaczki	Rogacze	Zające	Dziki	Lisy	Różne	Razem
22/10 [1]	8	Betulin. . . .	799					64				863
25/10 [1]	8	Lubartów . . . (Polowanie trwało od g. 1-ej do 4-ej po południu.)	508			139	1	4			1	653
26/10 [2]	10	Wólka . . . . (Polowanie trwało od g. 1-ej do 4-ej po południu.)					3	17		21		41
		Serya polowań A) Razem	1307			139	4	85		21	1	1557
7/11 [1]	8	Strażów (pół dnia) . . .	687	107	38	212		60				1104
9/11 [3]	8	Korczak-Romanówka . (cały dzień)	1930		1			11			3	1945
8/11 [1]	10	Wydrze-Biedaczów . (cały dzień)	1				5	23	1	40		70
		Serya polowań B) Razem	2618	107	39	212	5	94	1	40	3	3119

[1] pogoda [2] pochmurnie [3] wiatr.

(„Łowiec").

W styczniu odbyło się dorocz. polow. w maj. Kocierzowy, pow. radomskiego, należącym do p. Antoniego Kamockiego, gdzie w 10 strzelb zabito: 103 zające, 4 cietrzewie i 18 kuro-

patw; do sarn i bażantów nie strzelano. Królem polowania był dr. Bronisław Zielonewski.

W ubiegłym tygodniu w Rudzie Malenieckiej, majątku p. Felicyana Jankowskiego, odbyło się polowanie w 12 strzelb, na którem padło: 68 zajęcy, 3 rogacze i 1 dzik. Wobec złej pogody i pierwszego roku racyonalnej ochrony zwierzostanu, nie było to najgorszym rezultatem.

Wykazy Myśliwskie.

Według zwykłego porządku, jak corocznie, mam honor przesłać przy niniejszem wykaz z kontrolki zabitej przezemnie zwierzyny i szkodników u siebie w Osiecku (pow. sandomierski) w sezonie 1904/5 roku, a mianowicie:

Rogaczy 13, zajęcy 76, cietrzewi 2, kuropatw 348, przepiórek 6, dubeltów 5, bekasów 18, kaczek 11, cyranek 1, jastrzębi 1, kotów 4, psów 9, bocianów 3; razem 497 sztuk.

Bazyli Petrow.

Drobiazgi myśliwskie.

Do Warszawskiej Spółki Myśliwskiej przystąpił w ostatnich czasach ks. Janusz Radziwill z Towjan.

Bezrobocie w Warszawie, które owładnęło i drukarnie, nie pozwoliło nam wydać niniejszego numeru we właściwym czasie. Podczas zaburzeń ulicznych zamknięte były wszystkie składy i magazyny broni w Warszawie, a składy broni pp. Sosnowskiego i Niżałowskiego zostały częściowo zrabowane. Magazyn Warszawskiej Spółki Myśliwskiej otwarto w d. 5 lutego.

Klęska na kuropatwy Zima bieżąca śnieżna, i mroźna, jest nader ciężka dla kuropatw. Z rozmaitych okolic kraju donoszą o znajdowaniu w polu ptactwa, które padło z głodu i mrozu.

Śnieg wprawdzie długo na polu nie leżał, ale najwięcej szkodziło wyzyskanie znakomitej „okazyi“ przez pseudo-myśliwych i kłusowników, którzy nie omieszkali popukać sobie nieco z podjazdu, nie bacząc na najszkodliwsze skutki takich fuszerskich strzałów. Na potwierdzenie słów powyższych donoszą z Łomży, że właśnie w tym czasie ilość dostarczanych do tamtejszych sklepów kolonialnych lub na targ kuropatw, była tak znaczna, iż handlujący nie chcieli zupełnie ich kupować i byli w stanie obniżyć zimową cenę z 40—50 do 30 kop. za sztukę. Większa część kuropatw była stanowczo łapana w sidła.

Wypadki na polowaniu. W Kołacinku, pod Łodzią, majątku p. Weigla, odbywało się polowanie, na którem był także i miejscowy rządca, p. Milke. Ten ostatni przypadkowo przewrócił się na nabitą dubeltówkę. Rozległ się strzał, ładunek trafił M. w prawe kolano. Po dokonanym opatrunku na miejscu, pan M. odwieziony został na kuracyę do Warszawy.

Z powodu opisanej w ostatnim numerze „Łowca Polskiego“ walki z kłusownikiem, organista tłómaczy się w „Gazecie Kaliskiej“, że polował na polu, należącem do probostwa, co może potwierdzić syn dziedzica z Rzegocina i wszyscy mieszkańcy, którzy byli świadkami całego zajścia i widzieli, skąd ów polowy, Filipiak, jako postrzelony był wzięty do domu. „Wyszedłem sobie—pisze dalej—dla rozrywki postrzelać, a nie na żadne polowanie; sądziłem, że na polu probostwa mogę użyć tej rozrywki, i nie przewidywałem, żeby ktoś, a tem więcej polowy, mógł mnie na tem polu zaczepić. Podszedł do mnie, chcąc mi odebrać fuzyę, której mu z początku naturalnie oddać nie chciałem, uważając jego postępek za napad na mnie bezprawny, lecz widząc jego gwałtowność, oddałem ostatecznie fuzyę. Ten widocznie jeszcze niezadowolony z oddania, uderzył mnie kurkiem i lufą, zwróconą na dół, z których jeden uderzył w szpilkę naboju i fuzya w niego samego wystrzeliła w nogę“.

Lizanie psa. Są osoby, które lubią lizanie psa i pozwalają nawet lizać się po twarzy. Lizanie takie jest jednak szkodliwe dla zdrowia. Słynny profesor Blanchard, przedstawił na posiedzeniu akademii medycznej w Paryżu, pracę d-ra Deve z Rouen, wykazującą, że język psa jest czynnikiem przenoszenia szkodliwych zarazków; składa on na skórze, którą liże, larwy echinokoków, które wywołują bąble wodniste. Lizanie więc psa przenosi tę chorobę zwierzęcą na człowieka. Fakt ten stwierdzony został dokładnie za pomocą ścisłych badań.

Przywiązanie psa. W miejscowości Piding, pod Reichenhallem, piekarz, Hofman, ma dwa psy, które dowożą pieczywo do Reichenhallu. Przed kilku tygodniami, pewnego dnia po południu, psy zostały puszczone na wolność i polecialy do lasu. Wieczorem jednak nie wróciły, wbrew zwyczajowi; nie stawiły się też nazajutrz rano; po południu piekarz rozpoczął poszukiwania i na skraju lasu usłyszał odlegle naszczekiwania. Wkrótce potem nadbiegł jeden z psów, szczekając i kręcąc ogonem, i latał tam i napowrót, aby pana do towarzysza swego doprowadzić. Ten zaś wpadł w zatrzask, a wierny przyjaciel pozostał przy nim przez 24 godziny o głodzie, i głośnem szczekaniem oznajmił o niedoli towarzysza.

Dzik na wigilię. W Sandringham, gdzie król Edward VII w kole swojej rodziny spędza święta Bożego Narodzenia, obchód gwiazdkowy mało się różni od zwyczajów niemieckich. Różnica polega tylko na tem, że choinki nie zapala się w wieczór wigilijny, lecz dopiero w pierwsze święto. Obiad gwiazdkowy jest ściśle tradycyjny. Podają tylko staro-angielskie potrawy i przygotowują je według sekretnych, staroangielskich recept. Wielkiej wołowej pieczeni nigdy nie brak na stole gwiazdkowym. Nie brak również indyka w rozmaitych formach i przyprawach. Ale na tem nie kończy się bynajmniej staroangielskie *menu* gwiazdkowe. Figuruje w nim, między innemi, głowa dzika, którego rok rocznie cesarz Wilhelm przysyła w prezencie wujowi swojemu. A nad efektownem przybraniem tej głowy pracują specyaliści—dekoratorzy. W chwili, gdy ogromny półmisek z dzikiem stawiają na stole, wszyscy biesiadnicy śpiewają pieśń staroangielską. Podają także pasztet z pawiów, zdobny pawiemi piórami, a w końcu słynny plumpudding, sporządzony również według recepty tajemniczej.

Rzadkie wypadki. Pisma zagraniczne myśliwskie notują następujące niezwykłe wypadki. W Jarosławicu przy Cnaimie ubito białego kruka. W Konigsaalu widziano dwie białe jaskółki. W Pizeku kukułka zaniosła jaje do gniazda wróbli, które wyhodowały kukułczę; znawcy twierdzą, że kukułka nigdy nie składa jaj do wróblego gniazda.

Niedźwiedzie na Kamczatce. Do San Francisco przybył niedawno okręt „Harold Doltar“, który powrócił z podróży do brzegów Syberyi. Kapitan tego statku opowiada, że Kamczatka nawiedzona została obecnej zimy przez istne najście niedźwiedzi. Zgłodniałe zwierzęta, zbiwszy się w stada, dochodzące do 100 sztuk, grasują pośród białego dnia w całym kraju, napadając ludzi, oblegając wioski i osady i siejąc bezgraniczną panikę. Urządzane obławy pomagają niewiele, mimo że podczas jednej z nich ubito 150 niedźwiedzi.

Kwestya rui sarn jest ciągle jeszcze przedmiotem badań uczonych. Niemiecki embryolog, Dr. Leidhold, po bardzo dokładnie przeprowadzonych badaniach oświadcza, że w kozie, zabitej w początkach grudnia, znalazł już dobrze rozwinięte „jajo“, które bez kwestyi z rui letniej pochodzić musiało. Dalej, na mocy

swych badań twierdzi ten uczony, że części płciowe u kozy są tak urządzone, iż „jajo“ długą drogę odbywać musi, nim się do macicy dostanie, a druga ruja listopadowa (jak ją Niemcy dzisiaj nazywają „die Nachbrunst“) tłómaczy się tem, że organa rodne u kozy potrzebują ponownego podrażnienia, które wprowadza „jajo“ na właściwe miejsce i daje początek kształceniu się embryonu. Jeżeli twierdzenie to jest prawdziwe, zostanie już raz stanowczo rozwiązaną kwestya dwóch rui sarn i czas ich ciąży. Czytelników naszych odsyłamy do Nr. 21. (Tom 43) z b. r. „Deutsche J. Zeitung“, w którym całe badanie, jak i jego wynik są dokładnie i po lekarsku fachowo opisane. („*Łowiec*“).

Wymówka. — *Żona:* Co? Przynosisz z polowania zająca obciągniętego ze skóry?

Mąż: — A tak, na mój widok ze strachu z niej wyskoczył.

* *

Syn pudlarza (W szkole) — Jeżeli ojciec twój wczoraj zabił pięć zajęcy, a dziś dwa, ile było razem?

— Czternaście zajęcy, trzy lisy i pięć kozłów.

Treść Nr. 3 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.